

Wspomnienie bitwy pod Osuchami

Romuald Kołodziejczyk

Bitwa ta znana jest, choćby ze słyszenia, wielu mieszkańcom Zamojszczyzny, jako największa, poza powstaniem Warszawskim, bitwa partyzancka w okupowanej Polsce. Opisywana nieraz w wersjach dalekich od prawdy przez władze i środki masowej informacji PRL. Choć o bitwie wiele się pisało i pisze, nie ma niestety do dzisiaj kompleksowego, naukowego opracowania jej historii. Część piszących zajmuje się pewnymi segmentami działań oddziałów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich biorących w niej udział. Inni jeszcze dzisiaj piszą opracowania nie mające nic wspólnego z rzeczywistością, co można sprawdzić np. wpisując w google--bitwa pod Osuchami 2004 i otwierając opracowanie „Osuchy 2004 Historia”.

Zdecydowana większość publikacji to wspomnienia jej uczestników--są świadectwem indywidualnych przeżyć i wyciąganych stąd wniosków.

Konrad Bartoszewski ps. „Wir” wybitny dowódca oddziału partyzanckiego, dowodzący ostatnią fazą bitwy pod Osuchami, pisze w swoich wspomnieniach: „Niestety, większość publikacji, nie grzeszy ani znajomością faktów, ani obiektywizmem, ani wreszcie zrozumieniem specyficznego klimatu towarzyszącego działaniom partyzanckim. Stąd też niejednokrotnie muszą razić naiwne cenzurki i równie naiwne uogólnienia i wnioski”.

Bardzo dużo zawiniła tu historiografia okresu powojennego, która albo zupełnie przemilczała dokonania AK, albo pisała o nich źle. Trzeba przypomnieć, że w kilka miesięcy po bitwie pod Osuchami Armia Krajowa została nazwana „zaplutym karłem reakcji”. Usłużni historycy w setkach artykułów i opracowań opisywali wspaniale zwycięstwo oddziałów Armii Ludowej wspomaganých przez partyzantów radzieckich na Porytowym Wzgórzu, nie mówiąc ani słowa o gehennie ludności okolicznych wsi. Opisy tego zwycięstwa weszły nawet do podręczników szkolnych.

Jako przeciwstawienie wymieniało tragedię oddziałów AK w bitwie pod Osuchami, doprowadzonych jakoby do zagłady przez nieudolne kierownictwo „londyńskich” oficerów. Przy czym niezmiernie zawyżano ilość zabitych żołnierzy AK i BCH.

Pośród wielu opisów tej bitwy szczególnie wartościowe są wg mnie te, które publikuje Jerzy Józwiakowski w swojej dwutomowej, liczącej ponad 1.000 stron książki: „Armia Krajowa na Zamojszczyźnie”. Jest to pierwsze tej rangi dzieło bez PRL-owskiej cenzury. Autor w czasie 15-to letniej pracy dotarł do wielu dokumentów i dowódców oddziałów biorących w niej udział.

Bitwa pod Osuchami, miała miejsce w dniach 21-25 czerwca 1944 r.

Wcześniej jednak, w dniach 9-14.06.1944 r., toczyły się walki w rejonie Porytowego Wzgórza (powiat janowski) znane pod niemieckim kryptonimem STURMWIND I. W bitwie tej brali udział partyzanci radzieccy w sile około 2.000 ludzi, około 700 żołnierzy AL, a także przypadkowo znajdujący się tam oddział NOW-AK liczący 93 żołnierzy. Oddziały te 14 czerwca po kilku godzinnej walce przebiły się przez linie wojsk niemieckich i przeszły do lasów Puszczy Solskiej w powiecie biłgorajskim.

Niemcy z wściekłości za niepowodzenie akcji STURMWIND I dokonali pacyfikacji okolicznych wiosek zabijając ponad 100 jej mieszkańców, a ponad 4.000 uprowadzając do obozu w Biłgoraju. Miało to znaczący wpływ na taktykę

prowadzenia bitwy pod Osuchami przez dowodzącego polskimi oddziałami partyzanckimi szefa Inspektoratu Zamojskiego AK mjr Edwarda Markiewicza ps. „Kalina”. Pomny na gehennę ludności cywilnej po „zwycięstwie” sowieckim na Porytowym Wzgórzu, wybrał taktykę „miękkiego ustępowania”, która miała służyć uchronieniu ludności okolicznych wsi przed zemstą Niemców.

Oddziały radzieckie i AL, które po walce na Porytowym Wzgórzu przeszły do Puszczy Solskiej spotkały się z oddziałami partyzanckimi Zamojskiego Inspektoratu Armii Krajowej skoncentrowanymi tam dla wykonania, zarządzanego przez Naczelnego Dowódcę Armii Krajowej, planu „Burza”. Celem tego planu było przejmowanie władzy na terenach opuszczanych przez Niemców. Inspektorat Zamojski AK składał się z Obwodów: Biłgoraj, Hrubieszów, Tomaszów Lubelski i Zamość.

Ze strony polskiej w bitwie pod Osuchami brały udział oddziały partyzanckie Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich w sile około 1.000 żołnierzy. Całością tych sił dowodził, jak powiedziano wyżej, mjr Edward Markiewicz „Kalina”, który zginął w trakcie bitwy. Po śmierci „Kaliny” dowodzenie przejął z-ca Inspektora Mieczysław Rakoczy „Miecz”, i przekazał je Konradowi Bartoszewskiemu ps. „Wir” najlepiej znającemu teren.

Ze strony niemieckiej w bitwie pod Osuchami, mającej niemiecki kryptonim STURMWIND II, brały udział dywizje Wehrmachtu: 154-ta pod dowództwem gen. Arlichtera, 174-ta gen. Eberhardta i 213-ta gen. Goeschena, 4 pułk szkoleniowy, 318 pułk ochrony i 4 pułk policji. Razem około 30.000 ludzi. Do tego 4 flota powietrzna wydzieliła grupę zwiadowczo-bombową. Całością dowodził gen. Haenicke dowódca Okręgu Wojskowego Generalnej Guberni,

Niemcy utworzyli duży pierścień wokół Puszczy Solskiej, w którym znalazły się nasze oddziały partyzanckie, a także oddziały sowieckie i AL. Te ostatnie wybrały wariant przebijania się. Po kilku nieudanych próbach, w którejś z kolei wyrwały się z okrążenia.

W dniu 21 czerwca, tj. w pierwszym dniu bitwy pod Osuchami, niemieckie okrążenie ciągnęło się linią od Zwierzyńca poprzez Biłgoraj, Tarnogród, Susiec, Krasnobród z powrotem do Zwierzyńca. W następnych dniach niemiecki „walec” ruszył do przodu, zacieśniając pierścień i spychając nasze oddziały do coraz mniejszej przestrzeni. Wreszcie przestrzeń ta była tak mała, że podjęto decyzję przebijania się koło wsi Osuchy—stąd nazwa tej bitwy. Oddziały nasze przebijając się poniosły dotkliwe straty. Zginęło ponad 35% partyzantów, którzy padli w boju, bądź, ukrywając się na drzewach czy w okolicznych bagnach, zostali zabici podczas trwającego kilka dni przeczesywania terenu przez ekipy wojsk niemieckich wyposażonych w psy. Były to straty tak wysokie, że bitwę trzeba uznać za klęskę.

Trudno ustalić jedną przyczynę tej klęski, zapewne jest ich kilka. Najważniejsza to ogromna przewaga Niemców uzbrojonych w czołgi, artylerię, samoloty--szczególnie zwiadowcze. Inna, wg mnie także bardzo ważna, dotyczy wyszkolenia naszych oddziałów—nigdy nie miały one możliwości przećwiczenia działań w dużym zgrupowaniu. Widać to wyraźnie podczas przebijania się--oddziały nasze w trakcie podejścia nocą pod linie niemieckie straciły łączność między sobą, można powiedzieć, że pogubiły się w lesie. W miejscu wskazanym do przebijania się przez „Wira” znalazła się mniejszość oddziałów i ta przeszła ze stosunkowo małymi stratami. Większość przebijała

się chaotycznie około kilometra dalej mając do przebycia kilkaset metrów odkrytego trenu. Nieosłonięty teren przyniósł zgubę wielu żołnierzom.

Różni autorzy podają różne wielkości strat, jakie ponieśli partyzanci Zamojszczyzny w bitwie pod Osuchami. Najbliższy prawdy wydaje się Jerzy Józwiakowski, który daje następujące wyliczenie:

oddział	przynależność	stan	poległo
„Wojny”	AK	100	42
„Topoli”	AK	100	67
„Skrzypka”	AK	60	30
„Corda”	AK	200	74
„Vira”	AK	141	20
„Korczaka”	BCh	29	16
„Rysia”	BCh	300	76
„Burzy”	BCh	60	30
„Błyskawicy”	BCh	50	20
Razem		1040	375

Odpowiada to ocenie Konrada Bartoszewskiego „Wira”, który w swoich wspomnieniach oblicza straty na około 400 poległych.

Autorzy niektórych opracowań zarzucają „Kalinie”, że przyjął złą taktykę—trzeba było się przebijać już na samym początku, kiedy linia Niemców była długa i dlatego stosunkowa luźna. Ten pogląd reprezentuje również „Wir”, pisząc w swoich wspomnieniach: „tragiczny finał i wysokość strat były konsekwencją błędnej, choć wynikającej ze szlachetnych intencji, decyzji pozostawania w kotle”. Te gorzkie słowa wypowiada człowiek, który przeżył wstrząs widząc na własne oczy zabitych młodych chłopców, których znał po imieniu, których matki i ojcowie powierzyli mu pod opiekę, a który nie ustrzegł przed śmiercią.

Zarzucono też „Kalinie” nieznaną terenu. Znajomość terenu mieli dowódcy poszczególnych oddziałów, a „Kalina” opierał się na ich wiedzy i uzgadniał z nimi, jak wspominają uczestnicy bitwy, każdorazowo dalszy plan działania.

Niestety już nigdy nie dowiemy się, czy przyjęta taktyka dowódcy zgrupowania naszych oddziałów partyzanckich była słuszną, czy nie. Możemy jedynie domniemywać, że gdyby wojska niemieckie nie osiągnęłyby celu, do jakiego zostały przeznaczone—nie oczyściły z partyzantki zaplecza zbliżającego się frontu, i tak z całą pewnością chciałyby zameldować swoim przełożonym o osiągnięciu sukcesu, określając to zlikwidowaniem iluś tam „bandytów”. Zapewne byłaby to wymordowana ludność okolicznych miejscowości.

Poniżej wspomnienia jednego z uczestników tej bitwy spisane „na gorąco” i umieszczone w III tomie „Materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach 1939- 1944” pod redakcją dr Zygmunta Klukowskiego.

„Tęcza”- Adam Kapecki

Na początku czerwca 1944 r. wysłał mnie komendant placówki Kawka na specjalny kurs łączności i radiotelegrafistów. Ze skierowaniem udałem się

przez gajówkę Krzywe do Bondyrza, gdzie był punkt zborny kandydatów na kurs.

Spotkałem tu swego dobrego kolegę szkolnego sierżanta podchorążego Łamacza, który również szedł na wspomniany kurs. (Łasocha Stanisław, z Brodów Dużych, uczeń IV kl. gimnazjum w Szczepieszynie zginął pod Osuchami 25.VI 1944 r.)

W sobotę 10 czerwca pod dowództwem ppor. Watta wyruszyliśmy z Bondyrza. Trzema furmankami jechaliśmy śpiewając w kierunku obozu por. Woyny, położonego koło gajówki Za Oknem przy drodze Aleksandrów — Tereszpol w lasach wśród bagnistych terenów. Przybyliśmy do obozu przed wieczorem. Zastaliśmy tu małą grupę kolegów partyzantów. Był to pluton szturmowy, który sprawił na nas dodatnie wrażenie. Wszyscy żołnierze byli umundurowani w angielskie ubrania zrzutowe, broń mieli tylko maszynową. Na noc zakwaterowano nas w poniemieckim baraku.

Nazajutrz o godzinie 7 rano pobudka i zbiórka do apelu. Po modlitwie podzielono nowoprzybyłych na dwie grupy-plutony, które potem uzupełniano w miarę przybywania nowych uczestników kursu z innych rejonów. Po śniadaniu każdy z nas otrzymał angielski mundur i kamasze wojskowe, po czym przystąpiliśmy do budowy baraków. Materiał do nich mieliśmy gotowy, gdyż zawniesiono w pobliże obozu baraki poniemieckie spod Zwierzyńca.

Po skompletowaniu tworzyliśmy jedną kompanię reprezentacyjną, sztabową, inspektora mjr Kaliny w sile około 100 ludzi. Komendantem kompanii był por. Woyna¹), dowódcą I plutonu »S« (szturmowego) ppor. Boryna²), II plutonu »Ł« (łączności), do którego i ja należałem, - ppor. Bej, III plutonu »R« (radiotelegrafistów) przy znajdującej się tu radiostacji — ppor. Watt³). Magazynierem był ppor. Tom. Prócz tego znajdował się w obozie patrol BIP'u pod dowództwem Kalifa⁴), który przed tygodniem zaledwie przybył z Warszawy.

Rozdział dnia w obozie był następujący: rano o godz. 7 pobudka, po której ubrani tylko do pasa biegiem pędziliśmy na plac zbiórki na pobliskiej łące. Potem następowały kolejno: apel, modlitwa, przeczytanie rozkazu dziennego, gimnastyka poranna i mycie się w przepływającej obok rzeczulce. Po śniadaniu o godz. 8-ej zsiłszy do swoich zajęć. O godz. 12-ej obiad z jednogodzinną przerwą obiadową i znów nauka i ćwiczenia.

O godz. 7 wieczorem kolacja, potem apel wieczorny, modlitwa i po odśpiewaniu »Wszystkie nasze dzienne sprawy« rozchodziliśmy się do swoich baraków. Po godzinie 9-ej w obozie zalegała cisza.

Zorganizowana była też i służba wartownicza. Wystawiano dwa posterunki w przeciwnych stronach, w odległości 1,5 km od obozu, z którym było połączenie telefoniczne. Wartownicy zmieniali się co dwie godziny. W obozie pełnił służbę podoficer służbowy. Uzbrojenie i umundurowanie wciąż jeszcze kompletowano. Krawcowe, które znajdowały się w obozie, szyły dla nas czapki wojskowe — furażerki albo polówki. Następnie każdy otrzymał hełm polski, którego noszenie, szczególnie na warcie, było obowiązkowe.

Zajęcia z łączności przeplatane były wykładami o broni i ćwiczeniami polowymi całej kompanii.

Przychodziły meldunki do majora Kaliny o akcji niemieckiej w powiecie Janowskim, a następnie koło Bondyrza. W obozie naszym podwojono czujność. Wzmocniono posterunki wartownicze, stworzono patrole lotne, a co noc jeden z plutonów na zmianę był plutonem służbowym, którego żołnierze

spali w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu, w każdej chwili gotowi w razie alarmu wartowników odeprzeć lub powstrzymać atak nieprzyjaciela.

Obok naszego obozu znajdował się jeszcze szpital leśny zorganizowany przez obwód biłgorajski, obóz „Wira”, a koło Tereszpoła obóz ppor. „Topoli”. W środę 21 czerwca po południu wyruszyliśmy całą kompanią na ćwiczenia polowe, mieliśmy mianowicie wypróbować t. zw. piaty. Strzelaliśmy z odległości 100 metrów w komin spalonej gajówki Za Oknem. Wracając z tych ćwiczeń zauważyliśmy na drodze od Tereszpoła dwóch jeźdźców szybko jadących w naszym kierunku. Byli to gońcy od „Topoli”. Stawili się oni przed będącym z nami majorem „Kalina” i zameldowali mu, że Niemcy są w Tereszpolu i idą na las. Gońcy otrzymawszy rozkazy dla ppor. „Topoli” odjechali, a myśmy wrócili do obozu, gdzie wszczął się gorączkowy ruch. Major pisał rozkazy i przez gońców rozsyłał je do pobliskich oddziałów. Nam uzupełniono broń i amunicję, zastąpiono kabeki Schmeiserami, rozdzielono granaty i opatrunki osobiste, przydzielono do poszczególnych plutonów LKM-y i piaty*. Następnie szef Łącznikowski zapowiedział zbiórkę całej kompanii gotowej do drogi w pełnym uzbrojeniu i umundurowaniu. Po raporcie w kilku twardych, żołnierskich słowach przemówił do nas mjr Kalina, objaśniając wytworzoną sytuację. Pierwszym naszym zadaniem będzie rozbicie niespodziewanym napadem Niemców w Tereszpolu. Punkt zborny dla wszystkich oddziałów wyznaczono koło jeziora pod Tereszpołem. Przed wieczorem wyruszyliśmy w kierunku punktu zbornego żegnani przez pozostającą część naszych ludzi jako ochrona obozu.

Nad lasem krążył niemiecki samolot wywiadowczy, oświetlając teren rakietami. Na miejsce przybyliśmy około północy. Zastaliśmy już tutaj inne oddziały. Uzbrojenie mają one gorsze od nas, większość kabeki. Umundurowanie nie jest jednolite, lecz kombinowane. Spotykają się mundury polskie, niemieckie i ubrania cywilne. Nastrój wśród żołnierzy dość beztronski i wesoły.

Major wezwał wszystkich dowódców i oficerów na odprawę. Po odprawie pada rozkaz: »maszerować!« Sądzymy, że na Niemców, lecz wkrótce orientujemy się w terenie i poznajemy drogę nie na Tereszpol, ale powrotną do obozu. Jak się okazało, major wydał rozkaz powrotu wszystkim oddziałom do swoich obozów i czekania na dalsze zarządzenia, dlatego że ludność cywilna z Tereszpoła i pobliskich wiosek nie zdołała zbiec ani się ukryć i w razie naszej akcji zaczepnej ucierpiałaby bardzo i głównie na nią spadłyby represje niemieckie. Przemęczeni wróciliśmy do obozu około 4 rano 22. VI. i ułożyliśmy się do snu.

Już o godzinie 6 pobudka i śniadanie. Ładujemy na wozy najpotrzebniejsze nam rzeczy jak amunicja i żywność, to czego nie możemy zabrać chowamy i zakopujemy. Załadowaliśmy zaledwie dwa wozy, gdy naraz od strony naszej wartowni usłyszeliśmy strzały. Odróżnialiśmy serie z naszego LKM-u i z nieprzyjacielskiej broni maszynowej.

Następnie obóz nasz został obsypany gradem pocisków z nieprzyjacielskich granatników. Powstało pewne zamieszanie. Por. Woyna w porozumieniu z majorem zdecydował się nie przyjmować walki, lecz wycofać się w kierunku obozu Wira.

Jeden pluton z naszej kompanii, który w pierwszej chwili pośpieszył z pomocą wartownikom, osłaniał teraz odwrót. Niemcy zostali chwilowo odparci, myśmy zaś wycofali się szczęśliwie, mając tylko paru rannych.

W obozie Wira skoncentrowały się wszystkie oddziały. Cała nasza grupa liczyła teraz około 1000 ludzi. Tabor składał się z przeszło 20 parokonnych wozów.

Znalazło się wśród nas i kilkunastu żołnierzy od Podkowy. Zostali oni zaskoczeni przez Niemców podczas kąpeli koło Bondyrza i nie mogąc przedostać się do swojego oddziału, wycofali się w lasy i później przyłączyli do nas. Zeznania ich i innych ludzi zbiegłych z okolicznych wiosek utwierdziły nas w przekonaniu, że jesteśmy otoczeni i to przez dość znaczne, przeważające siły niemieckie. Dlatego teraz wyruszamy, by znaleźć możliwie najłabsze miejsce i śmiałym atakiem przedrzeć się przez okrążających nas Niemców. Naokoło słychać kanonadę artylerii niemieckiej. Nad lasem krążą niemieckie samoloty. Nad ranem zatrzymujemy się dla odpoczynku. Niedługo jednak odpoczywamy. Wraca jeden z naszych patroli i melduje o zbliżaniu się Niemców. Szykujemy się do ataku. Rozlegają się strzały— to nasze ubezpieczenie odstrzeliwując się cofa się pod naporem przeważającej siły. Niemcy są już tuż przed nami. Zatrzymujemy oddech, pada rozkaz dowódcy:

— Do ataku!

Podrywamy się i z głośnym »hurra« biegniemy. Zaczyna się bezładna strzelanina. Niemcy ustępują, a gdy uciekając zniknęli nam z oczu, dowództwo nasze w obawie przed zasadzką wydaje rozkaz cofnąć się. Mamy kilku rannych. Maszerujemy w przeciwnym kierunku.

Zatrzymujemy się nad jedną z rzeczek, których tutaj ze względu na bagnisty teren jest dość dużo. Lecz i tu postój nasz nie trwał długo. Usłyszeliśmy warkot motorów i wkrótce otrzymaliśmy meldunek o zbliżaniu się dwóch niemieckich czołgów. Obsługa z piatami wysuwa się naprzód. Podpuszczają czołgi na bliższą odległość i strzelają, lecz ze zdenerwowania niezbyt celnie. Niemcy oddają z czołgów kilka serii z CKM-ów i natychmiast wycofują się. Sądzymy, że po czołgach pójdzie do ataku niemiecka piechota. Okopujemy się i czekamy, lecz zamiast piechoty odzywa się artyleria. Pociski padają przed nami, rwą się obok nas lub z sykiem przelatują nad nami. Jest bardzo dużo niewypałów. Leżymy tak pod ostrzałem artylerii przez jakieś dwie godziny zupełnie bez strat, a Niemców nie widać. Lecz w końcu zaczynają nas »macać«, pada jeden, drugi, trzeci pocisk między nas. Nie ma sensu czekać dłużej, wycofujemy się więc dalej. W wędrowce tej spotykamy również i partyzantów sowieckich.

Nie wiemy dlaczego dowództwo nasze zwleka z decydującym momentem przebicia się. Uważamy, że to niezdecydowanie jest dla nas szkodliwe, ponieważ pierścień otaczających nas wojsk coraz bardziej się zacieśnia, a tym samym skupiają się coraz większe siły nieprzyjacielskie. Odczuwamy brak żywności. Ciągłe marsze bardzo nas męczą. Artyleria niemiecka nie daje nam spokoju. Postój w jednym miejscu ponad pół godziny staje się niemożliwy. Tabor nasz silnie utrudnia marsz, W ogóle niemożliwe jest posuwać się bezszelestnie i niepostrzeżenie. Zdradza nas rzenie koni i skrzyp wozów. Dlatego w nocy z 23-go na 24-y decydujemy się rozbić nasze tabory i zostawić je. Zabieramy z wozów najpotrzebniejsze nam przedmioty i żywność. Konie puszczamy swobodnie w las. Palimy archiwum inspektoratu. Rannych niesiemy teraz na zmianę na prowizorycznych noszach.

Podsuwamy się pod linie niemieckie. Zajmujemy stanowiska, maskujemy je. Mamy zamiar czekać aż Niemcy podejną do nas, niespodziewanie uderzyć i

przebić się poza otaczające nas linie niemieckie. Nie udało się nam to jednak, ponieważ znów »wymacała« nas artyleria.

Takie niezdecydowane postępowanie majora denerwuje nas i niektórzy dowódcy oddziałów postanawiają przebijać się ze swoimi oddziałami na własną rękę. Major Kalina na to nie zezwala. Zwołuje wszystkich dowódców na odprawę. Ostatecznie zdecydowano, że przebijamy się przez linie niemieckie pod Osuchami w nocy z soboty 24-go na niedzielę 25-go czerwca.

Maszerujemy kilka godzin. Zbliżamy się pod stanowiska niemieckie zachowując wszelką ostrożność, jednak zauważono nas i oświetlono raketami. Zaczynają grać niemieckie CKM-y. Mkną ku nam chmury pocisków, w tym dużo świetlnych. Chociaż noc ciemna, robi się jasno jak w dzień.

Mój oddział znajduje się w środku maszerującej grupy. Przechodzimy przez drogę i wpadamy na miny. To nas na chwilę zatrzymuje, tracimy łączność z innymi oddziałami. Powstaje zamieszanie i nasza kompania rozpada się na szereg małych grup. Nie ma żadnego dowódcy. Co robić? Niemcy oświetlają nas raketami, kierują w naszą stronę ogień karabinów maszynowych. Nie wiemy, w którym kierunku udać się. Ostatecznie rozsypujemy się na bagna.

Ja, Łamacz i jeszcze kilku idziemy razem. Nad ranem spotykamy na bagnach majora Kalinę z kilkunastoma żołnierzami. Major przyłącza się do nas, jest głodny tak samo zresztą jak i my, pyta czy nie ma który z nas kawałka chleba, lecz niestety, żaden nie posiadał ani kawałeczka. Postanawiamy spróbować razem, może uda się nam przedrzeć.

Ruszamy. Wtem ktoś na nas zawołał. Oglądamy się i widzimy niedaleko kilkunastu naszych partyzantów. Major zapytuje »kto tam«? Jeden z nich odpowiada, że ten co stał na warcie. Major woła, żeby na niego zaczekano, on zaraz do nich przyjdzie. Z tego wnioskuje, że nie był zdecydowany z kim ma iść.

W którą stronę nie zwrócimy się, wszędzie strzały. Nie ma wyjścia z tej matni. Rozmawiając z Kaliną tytułujemy go jak zwykle »panie majorze«, lecz ten zwraca nam uwagę tymi słowami: — Chłopcy, jak się spotkamy z Niemcami, nie mówcie do mnie panie majorze, tylko panie kapralu.

To nam się bardzo nie podobało, nie dopuszczaliśmy bowiem myśli o poddaniu się Niemcom do niewoli. Uważaliśmy, że spotkanie z nimi to śmierć ich lub nasza. I dlatego w krótkim czasie odłączyliśmy się z Łamaczem od majora Kaliny.

Już się całkiem rozwidniło. Wstawał dzień, który miał zadecydować o naszym istnieniu. Postanowiliśmy ukryć się, przeczekać obławę niemiecką, a jeśli Bóg pozwoli przeżyć, wieczorem pójdziemy dalej. Chciałem schować się w pobliżu kolegi Łamacza, lecz ten tak szybko ukrył się, że nie zorientowałem się, gdzie i w jaki sposób to zrobił. Na moje wołania nie odpowiadał. Byłem niezdecydowany, nie wiedziałem co robić i gdzie się ukryć. A odgłosy strzałów były coraz bliższe. Oddalając się od zbliżających się od tyłu Niemców pobiegłem w kierunku ich stałych pozycji. Biegłem przez moczary, co raz wpadając po pas w bagno, aż dostałem się na suchszy, bardziej zalesiony teren. Postanowiłem ukryć się tutaj. Początkowo pod gęstym krzakiem wygrzebałem wgłębienie, chciałem przykryć się liśćmi i mchem, lecz porzuciłem ten zamiar w obawie, że psy, które Niemcy mają ze sobą, wywęszą mnie. Ostatecznie wdrapałem się na wysoką jodłę. Po pewnym czasie, głodny i zmęczony, zdrzemnąłem się na drzewie.

Naraz zbudziły mnie jakieś krzyki. Nadśłuchuję i słyszę wołania: Wojtek, Antek, koledzy, chodźcie, już nie ma nic, zbiórka!

Wychyłam się ostrożnie myśląc, że rzeczywiście Niemcy już odeszli i koledzy nawołują się nawzajem. Lecz był to tylko podstęp ze strony Niemców. Chcieli, by ktoś się odezwał.

Zamiast kolegów zobaczyłem dookoła Niemców idących fala za falą i dokładnie przeszukujących las. Cofnąłem się i zamarłem z przerażenia. Uprzytomniłem sobie całą grozę mojego położenia. Wiedziałem, że w każdej chwili mogę być zauważony, a to oznaczało dla mnie śmierć. Przeniosłem się myślą do moich stron rodzinnych i ból ścisnął mi serce.

Mimo woli przymknąłem oczy. Nagle rozziewający krzyk przerwał mi tok mojej myśli. Spojrzałem w kierunku skąd dochodził i zobaczyłem rozbawionych żołnierzy niemieckich bijących dwie kobiety. Sylwetki przypominały mi nasze sanitariuszki, lecz nie mogłem ich poznać ze względu na dość dużą odległość.

Po jakimś czasie Niemcy oddalili się i słychać było już tylko przytłumione ich głosy. Posłyszałem szmer na pobliskim drzewie i ujrzałem zsuwającego się mężczyznę. Poszedłem za jego przykładem. Z kryjówek powychodziło dość dużo ludzi z sąsiednich wsi—kobiet, mężczyzn i dzieci oraz kilkunastu towarzyszy niedoli z naszej grupy. Był tu Zasuwa ze Szperówki, Szczupak z Suśca i jeszcze kilku znajomych.

Głodni kręciliśmy się szukając czegoś do zjedzenia. Dostaliśmy po kawałeczku chleba od tutejszych ludzi, ale i oni siedząc w ukryciu już kilka dni nie mieli go wiele. Pragnienie gasiliśmy pijąc mętną i mdłą wodę z bagna. Wtem ktoś krzyknął: — Obława, Niemcy idą!

Wszyscy się rozbiegli, ja popędziłem za jakimś tutejszym gospodarzem. Wpadł on w krzaki i znikł mi z oczu. Domyśliłem się, że musi mieć gdzieś kryjówkę. Szukam, ale na razie bez skutku. Przypadkowo tylko trąciłem niewielki świerk i spostrzegłem mały otwór. Nie namyślając się długo wcisnąłem się doń i uspokoiłem przestraszonego gospodarza. Był już najwyższy czas, gdyż Niemcy zbliżali się i wkrótce wstrzymując oddech usłyszeliśmy odgłos ich kroków.

W kryjówce tej przesiedzieliśmy całą noc. Zasnęliśmy dopiero nad ranem i obudziliśmy się dość późno. Już wszyscy powychodzili z ukrycia. Niemcy przeszli, tylko z daleka w sąsiedniej wiosce słychać było ich krzyki i śpiewy.

Znaleźliśmy w bagnie zastrzeloną krowę, każdy ukrajał dla siebie kawałek mięsa i piekł swoją porcję nad rozpalonym ogniskiem. Głodni nie czekaliśmy aż się dobrze upiecze, zjadaliśmy ze smakiem mięso twarde, na wpół surowe.

Rannym, który był między nami, zajęła się miejscowa ludność. Powoli zaczęli się wszyscy rozchodzić, każdy w swoim kierunku. Ja z kolegą z mojego plutonu Szczupakiem, który pochodził z okolic Suśca, udaliśmy się w tym kierunku. Jednak w połowie drogi Szczupak zorientował się, że zbłądziliśmy i idziemy nie do Suśca, lecz na Józefów, postanowił więc wrócić, ja zaś pożegnawszy się z nim poszedłem dalej. Zrobiwszy kilka kilometrów zauważyłem starego wieśniaka pasącego krowy. Dowiedziałem się od niego, że w Suścu na stacji i w wiosce kwaterują Niemcy. W jakiejś chałupie w pobliżu lasu napiłem się trochę mleka i znów skierowałem się w głąb lasu. Zapadła noc. Uszedłem z kilometr, zaszyłem się w krzaki i zmęczony zasnąłem. Na drugi dzień rano zbudziło mnie dopiero przygrzewające słońce i śpiew ptaków. Zerwałem się i

poszedłem dalej. Spotkałem w lesie również samotnie maszerującego kolegę z oddziału Topoli i razem doszliśmy do Majdanu Nepryskiego. Przestraszona ludność niezbyt chętnie udzielała nam schronienia. Skontaktowaliśmy się jednak z komendantem miejscowej placówki. Dowiedzieliśmy się, że w pobliżu znajduje się mała grupa kolegów, przyłączyliśmy się do nich i w nocy szczęśliwie przechodząc przez tor kolejowy i szosę dostaliśmy się do Bondyrza. Stąd lasami przez Kosobudy i Krzywe dobrnąłem do domu.

- 1) Por. Adam Haniewicz, poległ podczas opisywanej bitwy 25.VI.44 i.
 - 2) Ppor. Józef Wojciechowski z Rawy Ruskiej. Poległ w tejże bitwie.
 - 3) Ppor. Suchożebrski, inżynier elektrotechnik z Pomorza. Poległ w tejże bitwie
 - 4) Poległ w tejże bitwie.
- (punkty 1—4 wg dr. Z. Klukowskiego).

RK--moje wyjaśnienia niektórych nazw broni: kabek--karabin (KB—karabin bojowy), Schmeisser--od nazwiska konstruktora--nazwa niemieckiego pistoletu maszynowego, LKM- lekki karabin maszynowy, CKM- ciężki karabin maszynowy, PIAT- angielska, zrzutowa rusznica przeciwpancerna.